

Eliza Orzeszkowa

A... B... C...

**Zixo** Reader

W wielkim mieście wielkich Niemiec Joanna Lipska codziennie przechodziła około gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najlżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkim było państwo i wielkim zbudowany przez nie gmach sądowy. Cóż ona z potężnymi wielkościami tymi mieć mogła wspólnego? Wiedziała, że w tych obszernych ścianach porzniętych szeregami wielkich, jasnych okien rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła nie mając żadnego wcale majątku, gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwinioną o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy i nigdy wielki gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Był on tak wielkim, a ona była tak mała ze swym skromnym nazwiskiem, ze swym zupełnym ubóstwem i ze swą szczupłą, dziewiczą kibicią. Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, ani ozdobny, ani modny, lecz spod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów tak prawie jasnych jak len, gładkich i lśniących nad czołem, w prosty, ciężki warkocz zwiniętych z tyłu głowy. Cerę twarzy miała bladą i często zmęczoną, małe, różowe usta i wielkie, szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młoda była i niewątpliwie ładną, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej od razu jedną z tych dziewcząt, w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięków i zarazem ukrywa je przed ludźmi.

Nie pielęgnowane i nie uwydatniane, kwitną one blado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które zdrobniały i spłwiałały w cieniu; zaćmiewa je i zasłania często łopuch byle jaki, lecz wygodnie i pysznie rozrastający się w blasku słońca. Dziewczyna z lnianymi włosy i delikatną, dziewiczą kibicią byłaby może i bardzo ładną, gdyby miała cerę świeżą, swobodniejsze ruchy, świetniejszy strój, gdyby na koniec chciała i umiała rzucać się ludziom w oczy śmiało, zalotnie. Ale widoczne było, że czynić tego nie chciała i nie umiała. Błada i przywiedła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience szła ona ulicami miasta spieszenie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonym, a drobne i kształtne jej stopy w grubym, brzydkim obuwiu prędko, prędko, bez względu na grację ruchów stapały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążyć mularskie rusztowania wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę, popatrzyła na robotników pracujących u szczytu rusztowania, popatrzała chwilę i pobiegła dalej. Pomiedzy nią a tym gmachem wielkim i napełnionym posepnymi dźwiękami sporów i zbrodni cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy, bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosiła żałobę po ojcu i ciągle myślała o tym, że powinna koniecznie znaleźć sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkim czole. Cierpiała wtedy bardzo i dużo myślała, nie tylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnymi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziała się czegoś, i wtedy jej oczy zdawały się pokornie przemawiać do ludzi: "Przebaczcie mi, że istnieje!"

Dopóki żył stary ojciec, wiedziała, że żyje dla niego, a także nie znała nędzy. Teraz chodziła po świecie z nieustanną myślą:

— Na co ja komukolwiek czy czemukolwiek na świesię mogę?"

Często bywała głodną i miewała podarte obuwie, myśląc o kawałku chleba czy bułki albo o całych trzewikach, myślała zarazem:

"Wszakże biedny Mleczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa i koszule jego drą się już w kawałki!... A tu ja jeszcze siedzę mu na karku!"

Była to troska pozioma, pospolita, przyobleczona w głowie dziewczyny w formę trywialnych słów, niemniej ilekroć nikt jej nie widział, drobne jej ręce załamywały się rozpaczliwym ruchem, łyzy młode, więc rześiste, gorące, opływały policzki, a drżące z żalu usta szeptały pytanie: — Na co ja komukolwiek czy czemukolwiek na świecie przydać się mogę?

Miała znajome i rówieśnice, które w takim samym, jak jej, położeniu żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwytaly one drobne, codzienne przyjemności życia, karmiły się nimi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo — było im dość dobrze. Ona tak nie mogła. Dlaczego? Któż wie? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej, może naturze dopomogły w tym rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich, trochę wiedzy przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swym z tego świata wydalonym został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował... a! wcale inaczej działałoby się teraz z dwójgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Daleka przyszłość zdumiewać się nad tym będzie: był Polakiem. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak, jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Może już przedtem cierpiał wiele i zdrowie sterzał; usłuchał od razu i odszedł ze świata. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiąta głowa pedagoga z zaczerwienionymi od pracy oczami i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie tyle lata, ile jedna chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: "Idź stąd precz!" Poszedł z tą chmurą na czole, i może ona przyspieszyła wsunięcie się jego pod ziemię. Gdy tylko zniknął, przed córką jego stanęły znaki zapytania: Pozostać z bratem? gotować mu obiady, naprawiać jego bieliznę, wieczorami czytywać mu książki rozrywające po pracy biurowej? —Dobrze. Wszystko to czynić chciała i umiała, niczym z tego nie gardziła, lecz ta jego biurowa praca... Zaledwie na wyżywienie i przyzwoite odzienie dla jednego starczy. Na koniec, choć gotowanie obiadów, zamykanie mieszkania, naprawianie bielizny nie były dla niej robotami trudnymi ani upokarzającymi, ale dusza jej zaspokoić się nim nie mogła, jak płomyk wiła się w jej piersi, buchała w górę, rwała się wyżej. Pomimo trosk i zatrudnień bardzo poziomych miała cna, ta młoda dusza, poezję swoją i ambicję: pragnęła czynić coś i czymś być.

Dość długo Joanna biła się z różnymi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W rękę trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania niosła. Pomimo że był on dość ciężki, prędko wbiegła po wąskich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła i blada, miała jednak siłę organizacji nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole pozostała nieruchomą i zamyśliła się głęboko. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnymi głowami gwoździ; nad nią zwiślał sufit niski, belkowany, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami oklejonymi lichym i pstrym obiciem stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennym i kredensowym naczyniem, łóżko zasłane szczupłą i białą jak śnieg pościelą. Tu sypiała; pokój przyległy służył za sypialnię i pracownię jej brata i było to już całe ich mieszkanie znajdujące się na tak zwanej salce, czyli górnym pięterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta za pomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich

zawierają w sobie najtańsze mieszkania, dlatego Lipsyccy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy a wąskimi drzwiczkami od dziedzińca, i mieszkała rodzina właściciela szynku. Dziedziniec roił się od mieszkańców różnych płci i wieków.

Promień zachodzącego słońca wnikający przez małe okno oblewał złotem głowę stojącej nieruchomo dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał zrudziałość jej i starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, głowę naprzód nieco podała, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czym z taką rozkoszą marzyła? Czy o tańczącym wieczorku jakimś? O nowej sukni z wesołą, jasną barwą? Może o czułym słówku albo ognistym spojrzeniu kochanka?

Obudziła się z zamyślenia i rozmarzenia swego, podniosła rozpromienioną twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to gest radości. Z dziecinną też prawie radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samą siebie upomniała: — Cicho!

Potem cichutko znowu samą siebie zapytała:

— Śpi, czy nie śpi?

W pokoiku przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty na twardej kanapie leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą ściągłą, dość ładną, ale której białość niemal papierowa— raziła pozorem niezdrovia i martwoty tym przykrzej, że odbijała od krótkiego, czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów. Kiedyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowym i roztropnym, choć zawsze trochę powolnym i nieśmiałym, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i skończył pięć klas gimnazjalnych, kiedy cera jego nabierała poczęte tej przykraj, monotonnej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, ciemnymi okularami i odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w biurze. Kariera jego była złamaną na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tym dokładnej sprawy zdać nie mógł. Po prostu, uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? w szkole? w domu osmuconym dymisją ojca? czy w sposobie życia ubogiej rodziny? czy w moralnym powietrzu, którym oddychała to miasto? Można by dociec, lecz trudno dociekać...

Wieczorami czytywać mu książki rozrywające po pracy biurowej? —Dobrze. Wszystko to czynić chciała i umiała, niczym z tego nie gardziła, lecz ta jego biurowa praca... Zaledwie na wyżywienie i przyzwoite odzienie dla jednego starczy. Na koniec, choć gotowanie obiadów, zamiatanie mieszkania, naprawianie bielizny nie były dla niej robotami trudnymi ani upokarzającymi, ale dusza jej zaspokoić się nim nie mogła, jak płomyk wiła się w jej piersi, buchała w górę, rwała się wyżej. Pomimo trosk i zatrudnień bardzo poziomych miała cna, ta młoda dusza, poezję swoją i ambicję: pragnęła czynić coś i czymś być.

Dość długo Joanna biła się z różnymi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W rękę trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania niosła. Pomimo że był on dość ciężki, prędko wbiegła po wąskich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła i blada, miała jednak siłę organizacji nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole pozostała nieruchomą i zamyśliła się głęboko. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnymi głowami gwoździ; nad nią zwiślał sufit niski, belkowany, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami oklejonymi lichym i pstrym obiciem stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennym i kredensowym naczyniem, łóżko zasłane szczupłą i białą jak śnieg pościelą. Tu sypiała; pokoiik przyległy służył za sypialnię i pracownię jej brata i było to już całe ich

mieszkanie znajdujące się na tak zwanej salce, czyli górnym pięterku domu, Lróry wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta za pomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania, dlatego Lipsy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy a wąskimi drzwiczkami od dziedzińca, i mieszkała rodzina właściciela szynku. Dziedziniec roił się od mieszkańców różnych płci i wieków.

W pokoiku przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty na twardej kanapie leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą ściągłą, dość ładną, ale której białosc niemal paoierowa razila pozorem niezdrovia i martwoty tym przykrzej, że odbijała od krótkiego, czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów. Kiedyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowym i roztropnym, choć zawsze trochę powolnym i nieśmiałym, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i skończył pięć klas gimnazjalnych, kiedy cera jego nabierać poczęła tej przykrej, monotonnej, papierowej białosci, ręce wychudły, ruchy zleniwiły; bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, ciemnymi okularami i odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w biurze. Kariera jego była złamaną na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tym dokładnej sprawy zdać nie mógł. Po prostu, uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? w szkole? w domu osmuconym dymisją ojca? czy w sposobie życia ubogiej rodziny? czy w moralnym powietrzu, którym oddychało to miasto? Można by dociec, lecz trudno dociekać...

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy biedny kancelista izby skarbowej leniwie wyciągając się na kanapce wydobył z gardła wzajemne, nieokreślone, gapiowato brzmiące pytanie:

— Ha?

Potem podniósłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył i głośno, przeciągle poziewając dopóty usta szeroko otwierał, dopóki mu ich nie zamknął prawdziwy grad pocałunków. Śmiejąc się głośno i prędko, mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już, Mieczku, mam! mam, czego chciałam! Znalazłam!

Przy tym drobnymi stopy uderzała o podłogę i z całej siły obejmowała jego szyję i głowę. Leniwie, obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia i przewlekłym, nosowym trochę głosem zapytał:

— No, cóż tam takiego? Czysta wariatka z ciebie! Co znalazłaś? Pieniądze czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył na powrót i zza ciemnych szkieł swymi zaczerwienionymi, mrugającymi oczami patrząc na siostrę, zapytał:

— Jakie? A pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o parę kroków przed nim i opowiadała mu po raz pierwszy wszystkie troski swe i zmartwienia, którymi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar

wyjechania gdziekolwiek na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakim domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. Sama nie wiedziała dobrze, do czego zdatną być może, bo uczyła się tylko w domu, niewiele... To, co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele... Przy tym tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrowym bywa i jej starań potrzebuje...

Tu w szarych, przezroczystych oczach opowiadającej zakreśliły się łzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magła, kobieta dostatnia i położenie jej znająca, zapytała ją, czyby nie chciała uczyć jej wnuczki, dwie niewielkie dziewczynki, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze nie potrzebujące. Naturalnie, propozycję tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcje, bo tam, przy turkocie i zawierusze magła, uczyć się niesposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy dwa domy ma i chłopca, którego do szkoły chce przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z nimi na lekcje przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś, na przykład, syn tego ślusarza, który wiecznie w szynku siedzi i pije, a którego matka zabija się praniem bielizny! Dwanaście ma już lat, a jeszcze czytać nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i gdyby go ktokolwiek uczyć chciał i od złego odprowadzać, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możliwości... Jest jeszcze w perspektywie dziewczynka tego mularza, który w tym roku piec naprawiał i córkę z sobą czasem przyprowadzał, i malutka Mańka, córeczka stróża, której też już wkrótce pora będzie uczyć się czegokolwiek. Dzieci te zna już ona dobrze. Dużego Kostusia nieraz do kuchenki swej przyprowadzała i rozczochraną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, po prostu piorąc tego chłopca, tak jak jego matka prała bieliznę. Ten śmieszny Kostuś, taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego, ulicznik, wódkę już lubi, a jednakże did niej łagodny jak baranek, daje się myć, czesać, napominać i bardzo często, nie wiedzieć skąd, kwiatek jakiś dostaje i jej przynosi. Pewną jest, że można będzie chłopca tego od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to od dawna już przepadają obie za sobą... — Ty zresztą wiesz, Mleczku, że ja w ogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem dlaczego, ale tak jsst... Może to po ojcu... Ot, myślałam, myślałam i — wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła... Ale to wszystko tylko początek. Ziarnko do ziarnka zbierze się miarka, a później... później...

Wszystko to mówiła z wielkim i coraz większym zapałem; w ciemnym pokoju, z oknem od północy, żaden promień ałońca nie padał na nią, a jednak po czole jej mknęły widoczne blaski i rumieńcem wezbranego życia staczały się na policzki.

Mieczysław siedział prosto i sztywnie, zza okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Nieruchomymi też były rysy mizernej i sennej jego twarzy i trudno byłoby odgadnąć, czy to, co mówiła mu, sprawia na nim jakiegokolwiek wrażenie, czy też żadnego wcale nie sprawia. Tyle tylko, że oczu nie spuszczał z ożywionej jej twarzy i że chude palce długich i białych jego rąk, które wsparł o kolana, coraz żwawiej bębniły po wytartym suknie ubrania. Gdy Joanna mówić przestała, przewlekłym swym, nosowym głosem powtórzył za nią:

— Później!... Później!...

A potem szczególnym ruchem, zakłopotanie czy żartobliwość oznaczającym, wsuwając szyję w krochmalny kołnierz koszuli nie bez wahania się zapytał:

— No... cóż... takie dalekie projekty układasz... a za mąż wyjść nie myślisz?

Wzruszyła ramionami.

— Wątpię, aby to kiedykolwiek stać się mogło. Wiesz o tym, że nikogo prawie nie znamy, nigdzie nie bywamy... jakżeby więc? jakim sposobem? Zresztą, może... ale spuszczać się na to nie mogę...

Z szyją wciąż w kołnierz wsuniętą i podniesioną nieco głową brat wpatrywał się w nią jak i wprzód, tylko po wąskich jego wargach czarnym wąsem ocienionych przewijało się coś na kształt żartobliwego uśmiechu.

— No... — zaczął znowu — a ten... doktor?

Tym razem Joanna zarumieniła się i ze zdziwieniem na brata spojrzała. Jak to! więc odgadł on w niej to, o czym nigdy przed nikim ani jednego słowa nie wymówiły jej usta! On, tak obojętny i senny, musiał jednak pilnie na nią spoglądać, kiedy mógł, nie wiedzieć z czego, z oczu jej chyba, z gry rysów, ze smutku jej albo wesołości odgadnąć... Zresztą, nie było o czym mówić. Nie było tu wcale ani romansu żadnego, ani nawet jego przypuszczenia. Ot, tak jakoś serce uderzyło żywiej. Musiało przecież kiedyś żywiej uderzyć młodym będąc, ale zresztą milczało jak grób, bo nie było w nim nadziei. Rumieniec zgasł na twarzy Joanny, która wydała się teraz bledszą niż wprzód. Oczy jej i usta przybrały wyraz szczególnej powagi i spokojnego smutku. Po chwili milczenia ciszej niż przedtem mówiła, odrzekła:

— Mój Mieczku! ty wiesz dobrze, że byłyby to dla mnie marzenia zbyt wysokie... Doktor Adam był dla nas bardzo dobrym w czasie tak długiej choroby ojca... i powiem ci szczerze, że wydaje mi się on ideałem człowieka. Ale właśnie dlatego, że tak jest, wiem dobrze, że nie myśli on o mnie i nie pomyśli nigdy.

Głos jej drgnął, pochyliła głowę i dokończyła cicho:

— Tylko widzisz... miasto nasze takie małe... ludzie tu wszystko jedni o drugich wiedzą i czasem spotykać się z sobą muszą... więc chcę, aby on wiedział... że ja... powiedział mi kiedyś, że jestem wzorową córką... wiem dobrze, że pomiędzy nami nic nigdy nie będzie, ale chcę... aby wiedział, że zasługuję na jego szacunek...

Podniosła twarz i przez szybę okna patrzyła w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej oddali widziała jakąś tęczę idealną, która zawisała nad szarym jej życiem. Mieczysław wydobył szyję z krochmalnego kołnierza i spuścił głowę. Palce jego bębniły wciąż po kościstych kolanach, usta rozwarły się nieco. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutnym czuł się, znudzonym albo jeszcze sennym. Nagle zapytał:

— No, a ileż ci płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia czy marzenia. Natychmiast górną, rozwiewną swoją tęczę opuściła dla spraw powszednich, które miały dla niej ogromne znaczenie. Wesoło znowu powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielkim, jednak w ich wspólnym życiu zaważy wiele. Zresztą, to tylko początek... ziarnko do ziarnka zbierze się miarka, i później... później... Mieczysław wstał. Prosto, sztywnie postąpił kilka kroków, chude ramiona swe w wytartych rękawach zaokrąglił dokoła kibici siostry i mocno ją kilka razy w czoło pocałował. Ona skoczyła mu na szyję. Uradowana była i zdziwiona. Objawy czułości bywały u niego tak rzadkie, że takiego, jak teraz, prawie nie pamiętała. Potem dopiero, gdy wzięwszy czapkę wyszedł do biura, a ona pogrążona w myślach sama jedna siedziała w kuchence, po głowie jej przemknęło:

"Czy on tak rozczulił się dla mnie z powodu tego przyszłego zarobku? Więc o niczym więcej nie pomyślał, tylko o pieniądzach!..."

Jednak wieczoru tego smutne myśli prędko od niej uciekły. Przy zapadającym zmierzchu z dołu, spod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły wciąż głośniejsze, niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec. Biegła ku mieszkaniu ślusarza-pijaka i żony jego, praczki. Po drodze sukni jej uczepiła się dziewczynka malutka, bosa, pucata, rumiana i z kaczymi ruchami obok niej biegnąc wraz z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na dziedziniec, za nimi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą obrzękłą od pijaństwa, zażawionymi oczami i wielką, rozczochraną czupryną nad wąskim czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek jego przyzwyczajęń, nie był jednak dnia tego pijanym, tylko czegoś uradowanym i rozrzewnionym. Za progiem mieszkania swego pochylił się i schwyciwszy rękę Joanny z całej siły warg swych ją pocałował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, ciężki, cały w grube płótno odziany, bosymi stopami ciężko o kamienie uderzając, z dzbankiem pełnym wody pobiegł na schodki prowadzące do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał on czasem Joannie różne drobne gospodarskie przysługi. Rzecz dziwna! Dwunastoletnie dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzyło na ludzi spod brwi, nieufnie, bojaźliwie, czasem przebiegle i ze złością. Matka zapracowana i wiecznie zgryziona często łajała go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopałki cygar i obwarzanki cuchnące wódką; zdrojem zabawy, rozkoszy i poznawania życia był mu szynk. Jednak od niedawna to stare dziecinne serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innym niż uczucie krzywdy, bojaźni, bosych nóg i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panienki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani takich ciekawych powiastek, jak te, które opowiadała mu ona, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej, w czym mógł, czy przy ścianie kuchenki siedział na ziemi obejmując ramionami swe podniesione kolana i patrząc na nią już nie spod brwi i dziko, lecz śmiałym, roztropnym wzrokiem. Odkąd mu powiedziała, aby był dobrym dla malutkiej Mańki, nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, a bardzo często widzieć ich można było trzymających się za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na wschodki i wchodzili do kuchenki Lipskich.

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Zza cienkiej ściany górnego pięterka domku wychodziły na zewnątrz cieniuchne głosy dziecięce bąkające: — A... b... c... A... b... c...

Inne, starsze nieco prawily:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa rożki i — żądło...

Albo:

— Pięć razy sześć trzydzieści... cztery od dziesięciu — sześć.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafii. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, te mocniej, i gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swymi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dlań kaligraficzne wzory. Miała w tym swój cel. Chłopiec zakreśliwszy całą stronicę brał papier w obie ręce, szerokie swe plecy w płóciennym Spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje ze wzorów Joanny skopiowane pisanie:



— Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło... Choć ubogo, ale chędogo... Pieczone gołąbki nie wlatują same do gąbki... itd.

W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutną. Nawet gdy szła ulicami miasta, spostrzec można było w ruchach jej i wyrazie twarzy znaczne zmiany. Wyglądała różnie, zdrowiej i pogodniej. Obuwie jej me było już nigdy podartym, ani suknie tak zniszczonymi. Odkwitła. Zdobycze jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości jest na tym świecie niezmiernie względnym. Dla niej drobiazgi te były prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją inaczej, jak mogli. Pracznia bezpłatnie prała ich bieliznę; mularz, posiadający obszerny ogród, przynosił warzywa i owoce; mieszkający naprzeciw piekarzowie w dodatku do miesięcznego rubla przysyłałi co dzień małą bułkę chleba; stróż domu darmo drzewo na opał rąbał, a czasem to i owo na rynku kupił i przyniósł w prezencie panience, która dla jego małej była tak dobrą... Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła, że nawet pijak ślusarz płacić jej także pragnął monetą innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć wracając z miasta wchodziła na dziedziniec, człowiek ten, nie wiedząc skąd, zjawiał się także. Czy ujrzawszy ją przez okno wypadał z szynku lub wysuwał się zza węgła domu, u którego próżniaczo godzinami przesiadywał, lub w lepszych dniach swoich przerywał ślusarską robotę i wychodził ze swego mieszkania, dość, że zawsze, nieodmiennie, z zegarkową regularnością gęsta czupryna jego i niskie, ciemne czoło pochylały się przed nią, a żółte, obrzękłe wargi wyciskały na jej rękę głośny, przeciągły pocałunek. Był to w gruncie rzeczy obrzydliwy pocałunek pijaka, którego ślady bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał do jej serca. Jak brylanty, radością świeciły Jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, którymi zastąpiła tamte... drące się w kawałki. Tego dnia także do czarnego zawsze kapelusza swego przypięła gałązkę sztucznych kwiatów... Teraz na ludzi patrzyła śmiało i spokojnie; ale był w mieście jeden szczególnie człowiek, z którego spojrzeniem, ilekroć spostrzegła go, spotkać się pragnęła. I nawet dziwnie tego pragnęła, chociaż usiłowała o tym nie myśleć. Był on dla jej ojca bardzo dobrym w czasie długiej jego choroby, widywała go wtedy często, słuchała rozmów, które ze starym pedagogiem uprzejmie prowadził — potem przybył na pogrzeb i gdy chwiejąca się szła za trumną, rękę jej oparł na swoim ramieniu, I nic więcej pomiędzy nimi nie było, ale ona o tym nigdy nie zapomniała, chociaż teraz widywała go tylko na ulicy, z daleka, gdy zgrabnym jednokonnym powozikiem objeżdżał domy swoich pacjentów. Ilekroć spostrzegł ją, kłaniał się grzecznie. Nic więcej. Jednak w jej sercu struna jakaś uparła się drzeć przy każdym jego spotkaniu i śpiewać jej o nim w godzinach ciszy. Powiedziała sobie: "Nie podobna!" i nawet z czasem przestała cierpieć. Tylko nikt już więcej nie sprawiał jej najłżejszego wrażenia, a czasem w nocie księżycowe po dniu pracy spoczywając, lecz jeszcze nie śpiąc, przez szyby małego okna patrzyła w górę, wysoko... To wielkie szczęście, o którego zdobyciu nie marzyła, wydawało się jej wtedy tęczą idealną, w niedoścignionej oddali zawieszoną nad szarą ziemią...

Czasem też wyobrażała sobie, że jest drobnym robaczkiem uwijającym się, ile tylko sił starczyło, u podstaw wyniosłej, aż niebotycznej budowli. U podstaw. Wyraz ten kędyś słyszała, czytała. Otóż była tam teraz. Wyżej promiennie było i świetnie. Ludzie tam dźwigali i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona wraz z mnóstwem podobnych sobie maluczkić istot zbierała w cieniu drobne pyłki, ale tak zupełnie poprzestawała na tym, że przed jej wyobraźnią przyszłość stawała pogodna, pełna i nawet z owej górnej tęczy nieznanego i na zawsze niemego uczucia nie spadała na wargi jej żadna kropla goryczy, tylko spływało czasem trochę tęsknoty i smutku...

Często w późne wieczory bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe z dołu, spod podłogi, buchały w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę. Dziki ten hałas unosił się

wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięcym czystym, cichym snem Joanny. Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieci, nie przestała przecież zajmować się pilnie małym gospodarstwem swoim i brata. Dlatego codziennie, raz albo i dwa razy na dzień, po prowizje i różne sprawunki wychodziła do miasta. W tych wycieczkach najczęściej mijać musiała z bliska wielki gmach sądowy, ale najmniejszej nań nigdy nie zwracała uwagi. Był on tak wielkim, a ona była tak małą! Rozległe wnętrza jego napełniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak — jakim sposobem stało się to, trudno dociekać — dnia pewnego weszła do jednej z sal tego gmachu i wskazano jej tam zaraz miejsce, które zająć miała. Była nim ława obwinionych. Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca: zdawało się jej wtedy, że wszystka krew zbiegła się do jej głowy, kipiała tam, szumiała, jęczała, paliła w policzki i czoło jak rozpalone żelazo. W oczach jej ludzie, ściany, sprzęty mgliły się i mąciły tak, że dokoła siebie widziała tylko jakąś pstrą, migotliwą masę. Gdy rozpoznała na koniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wyteżoną ciekawością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą z odzieży wszelkiej postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmaconej do głębi istocie swej miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, co w tej chwili patrzali na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w czarnym, bardzo skromnym ubraniu, drżącą, przelękłą, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór imponujący; uroczyste wrażenie sprawiały purpurowe kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napełniał szeregi ław ustawionych przy wnijściu; wysokie i wspaniałe siedzenia sędziów przysięgłych nie były zajęte; sprawa, którą zajmować się miano, kompetencji ich nie podlegała. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy i zamyślane twarze sędziów, na zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, stłumionymi rozmowy szumiący tłum. Tu i ówdzie w białym tym świetle błyskały złote hafty ubrań urzędników, jaskrawy kwiat zakolysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i echem odbił się w górze głośniejszym wymówiony wyraz. Woźny sądowy wymówił kilka głośnych, dobitnych słów i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowni:

— Sprawa Joanny, córki Zygmunta, Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz...

Sława te przywróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znowu. Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej błądź. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią a tak z bliska obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę, ku ozdobnym gzymsom przeciwległej ściany; czasem głową czyniła takie ruchy, jakby, we wnętrzu swym usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zrozumieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć na pewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznania świadków. A jednak były one głośnie i trwały długo. Otyła i siwa Rożnowska w staroświeckiej mantyli i z płaskim, czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, po kilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winną, Sumienie inaczej mówić jej nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest ubogą i sierotą, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tym co złego, pewno by nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwa ma włosy, całe życie przeszło jej w tym mieście i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek

do jakiej nieuczciwości namówiła. Zachlipnęła się płaczem, jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... ale dano jej znak, by umilkła już i usiadła. Przyjaciółka właścicielki magła, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tym zgromadzeniu jedwabną suknią i eleganckimi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które jako corpus delicti leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do pierwszej klasy gimnazjalnej przygotowała tak dobrze, że teraz, gdyby nie był jeszcze zbyt małym, przyjęto by go może i do drugiej. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że czuła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tym jest co złego, byłaby pewno tego nie czyniła, ale słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? kto ma dziecko, ten o edukację jego dbać musi, a tu pod bokiem guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna i sierota... Tu dokonała przed sądem dyg elegancki, uszanowania pełen, po czym milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającymi trochę usty i powiekami obok Rożnowskiej usiadła.

Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka-ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta, wysoka i chuda, z twarzą wszerek i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej, krótkiej spódnicy i wielkiej chustce zarzuconej na głowę i ramiona, tak strwożoną była i rozżaloną, że prócz kilku niewyraźnych, ledwie dosłyszalnych słów, nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu wypieczonych parą kipiątku B,spieką żelazek łzy jak groch padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej jej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy: syn dwunastoletni, ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka, dobra panienka... Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz. Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoją dużo, prędko i tak głośno, że po razy parę zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłusznym, ale ręką żylastą i silną targając mosiężny łańcuch zegarka albo na głowie burząc gęstwinę twardych włosów, wnet znowu w zapał wpadał i głośniejszy, niż wypadało, zuchowato jakoś dowodził, że kiedy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś posyłać ją na pensję — za drogo mu było. Więc cóż miał robić? I cóż-on takiego zrobił? albo i ta panienka: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania rozstawił ręce takim gestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a jemu nikt wytłumaczyć nie chciał, dlaczego mianowicie tak się z nim dzieje? Po tym mularzu zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku, na koniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnym pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tym, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa rożki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam nie miło itd.

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi napełniającemu połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach pilnie, w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby móc lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkimi ławami, na jakimś małym podniesieniu tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły.

Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napełniły się wyrazem przerażenia. Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał niż zwykle! Suche ramiona swe w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał: na papierowo białe jego policzki wystąpiły plamy czerwone i wybijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarłe, co zresztą zdarzało mu się często, tylko że w tej chwili ten charakterystyczny rys jego twarzy nie rzucał na nią wyrazu ani gapiowatości, ani martwoty, lecz nieopisanego udręczenia. Z wyteżoną uwagą słuchał on krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator, i splątanej, strwożonym jakoś głosem wybakanej

obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny oznajmiając jej, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując co by na obronę swą powiedzieć mogła i chciała.

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy obwinionych podniosła się znowu postać szczupłej, jasnowłosej, czarno ubranej dziewczyny. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną i tylko głos cichy, trochę drżący:

— Uczyłam dzieci, myślałam... że czynię dobrze...

Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły i poprawiając wyrzeczone zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— Myślę, że dobrze czyniłam.

Widocznie, nie znała prawa, lecz nieznanomość prawa nie usprawiedliwia nikogo. Bezwarunkowo była winną. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący sądowi nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami swymi do komnaty narad, lecz przez minut parę siedział nieruchomy z podniesioną trochę głową i jak w tęczę wpatrywał się w obwinioną — z jakim wyrazem oczu? — tego z powodu oddalenia nikt z tłumu dostrzec nie mógł. Patrzył! też na nią i towarzysze jego, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę najwyżej, dwie minuty, po czym wstali i odeszli. Nie wracali długo. Śród publiczności objawiano zdziwienie nad tym, że sędziowie nie wracają tak długo. Sprawa była prostą i jasną, prawo jest wyraźnym, dowody złożone niezbite, podsądna sama wcale nie przeczyła faktom. Dlaczegoż narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem swym woźny zawołał:

— Sąd przychodzi!

Ze szmerem szumiących drzew wszyscy powstali. Za stołem zasłanym purpurą przewodniczący stanął wraz z towarzyszami swymi i czytać zaczął wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem niż ten, którym wprzód przemawiał:

— Dwieście rubli kary pieniężnej, w razie niewypłacalności trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i ówdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że w stosunku do brzmienia prawa wyrok jest łagodnym, bardzo łagodnym. Stosując prawo w całej jego rozciągłości mogli byli karać ją ciężiej, daleko ciężiej...

Jednak ciężkość i lekkość są pojęciami nadzwyczaj względnymi. Tak zapewne myślał Mieczysław Lipski, który po usłyszeniu wyroku najłżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie jak wprzód, skrzyżowane ramiona do piersi przyciskając. Urzędnik jakiś w kołnierzu z rzadka haftowanym złotem przechodził tamtędy i spostrzegłszy go zatrzymał się przed nim. Znał go widać i z życzliwym uśmiechem zaczął:

— No cóż, Mieczysławie Zygmuntowiczu? Lepiej skończyło się, niż można się było spodziewać. Sędziowie są ludźmi. Ale cóż postanowicie? Sztraf czy areszt? Jutro rano sam przyjdę do was. Ale radzę warn, zapłaćcie lepiej... Dwieście rubli to nie Bóg wie co, a panienki szkoda...

I pobiegł dalej. W tejże chwili Mieczysław oderwał się od ściany i skoczył ku wyjściu. Paru biurowych kolegów przytrzymał go chciało i mówić coś, może doradzać... Ale jego oczy były tak

rozpalone, że zza ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dokoła. Tak wypadł do długiej, jasnej galerii z rzędem ogromnych, nagich okien, którą przepływała publiczność, zwolna znikając w dole na wschodach. Tu obejrzał się i we framudze jednego z okien spostrzegł Joannę, która tam stała, może czekając na niego, może nie mając siły czy odwagi torować sobie drogi wśród tłumu. W tej chwili wiodła ona wzrokiem za grupą osób znajdujących się już u przeciwnego końca galerii. Były dwie kobiety i jeden mężczyzna, powszechnie w tym mieście znany, przystojny, wzięty, przez panie szczególnie lubiony doktor Adam. Jak mnóstwo ludzi innych przybył on tu dziś dla wysłuchania ciekawej sprawy sądowej i łatwo było spostrzec, że wychodził pod wpływem poważnych i smutnych wzruszeń. Przecież, gdy jedna z towarzyszek jego, wysoka i strojnie ubrana panna, z uśmiechem przemówiła do niego, uśmiechnął się także i u początku wschodów pośpieszył podał jej ramię. Joanna uczuła w tej chwili, że ktoś ją chwycił za rękę, i zobaczyła Mieczysława, który schylony nad nią prędko i cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne interesy. Za parę godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionymi wciąż oczami i mocno ściskając jej rękę dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!

\* \*

W kilka godzin potem Mieczysław Lipski znużonym krokiem wstępował na wschody swego mieszkania, powoli przeszedł kuchenkę i w przyległym pokoju z głośnym sieknięciem usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie ciężko znużonym, twarz jego wróciła do swej jednolitej, papierowej białości; gestem zamyślenia i stroskania przesunął długą, białą swą rękę po zmarszczonym czole. Nie zdziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence nie zobaczył. Zeszła może na dziedziniec do praczki albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Roźnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko siedziała w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką poręczą łóżka. Widząc wchodzącego brata nie zerwała się zaraz, jak to bywało zwykle, aby przywitać go i zapytać, czy czego nie potrzebuje. Nie mogła może od razu wyrwać się z zamyślenia albo raiła do niego trochę żalu za to, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała i powoli, cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! gdzieś była?... — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mię nie spostrzegłeś. Roźnowska przysyłała prosząc, abym do niej na resztę dnia przyszła, ale nie chciałam... Myślałam, że zaraz przyjdiesz... przyszedłeś tak nieprędko...

— Aha! nieprędko — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność jej brata na jej losy widocznie w serce kłuła. Stała o parę kroków przed nim ze splecionymi na sukni rękami, oczy jej głęboko zapadłe smutnie świeciły pośród bardzo bladej i mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu przed rozstaniem...

— Jaki ostatni dzień? jakie rozstanie? — mruknął znowu brat.

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mię do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka nerwowych drgnień. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące to czas dość długi... a i potem najpewniej nie wrócę już do ciebie, tylko gdziekolwiek w jakąkolwiek służbę pójdę... Trzeba więc pomyśleć o twoim gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie bieliznę twoją i odzienie, abyś wiedział, co masz, i okradać się nie dawał. Matkę Kostusia umówię, aby co dzień z rana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawić. W domu już jadać nie będziesz, bo któż by ci teraz gotował? Ale pójdę na chwilę do Rożnowskiej i dowiem się, czyby nie chciała za zapłatę obiad ci dawać. Miałbyś u niej jedzenie zdrowsze niż w restauracji... I tak już często na zdrowiu zapadasz. Pamiętaj także, gdy wieczorem siadasz do pisania, lampę uważnie zapalać, bo mas? zwyczaj czynić to tak, że pokój napelnia się dymem i swędem, co ci bardzo na oczy szkodzi... W spiżarence przy kuchni jest trochę masła, krup i mąki, a w sklepie kartofli i warzywa sporo... dobrze zrobisz oddając to wszystko Rożnowskiej, jeżeli u niej jadać będziesz. Zawsze to ci trochę pieniędzy oszczędzi...

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmordowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

— Tak — odrzekła — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypomnę sobie...

Nie spuszczać z niej wzroku przez kilka sekund wstrząsał głową, tak jakby dziwił się czemuś lub nad czymś ubolewał. Potem nosowym swym, przewlekłym głosem mówić zaczął:

— I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to, abyś szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i zgubionymi kobietami, w brudach, w błocie?... Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? Wyrok sądowy... ostateczny...

— Czyś nie słyszała? Dwieście rubli kary pieniężnej albo więzienie!... dwieście rubli!... wyraźnie: dwie-ście rubli! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się i ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałam. Ale to wszystko jedno. Dla mnie dwieście rubli dostać jest tym samym, co zdjąć gwiazdę z nieba! ani pomyślałam o tym.

— Aha! nie pomyślałaś! Ale ja pomyślałem! — zawołał kancelista i tym razem zerwawszy się z kanapy wyprostował się w całej swej cienkości i wysokości, a długie, kościste ramiona szeroko rozpostarł, co wszystko nadało mu niejaki podobieństwo do wietrznego młyna. W postawie tej, miotając w powietrzu ramionami jak młyńskimi skrzydłami wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni tak, jak swoje uszy bez lustra! Pluję ja na dwieście rubli tam, gdzie idzie o honor, zdrowie, a może i życie mojej siostry! Bo ty byś może tych trzech miesięcy i nie przeżyła! Bagatela! trzy miesiące w mokrych murach, w brudzie, błocie, ze złodziejami i łajdaczkami! Nie spod ogona sroki wyskoczyłaś! Jesteś córką profesora, dobrze wychowaną i delikatną... Nie do takich rzeczy przywykłaś! Dlatego żeśmy zbiednieli, to mamy już tarzać się po więzieniach, ze złodziejami i pijakami! I to dla dwiestu rubli!! Cha, cha, cha, cha!

Nie chodził, ale biegał po pokoju oddychając prędko, nerwowo śmiejąc się i gestykulując. Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała

— Ależ na miłość boską! Mieczku! co ty wygadujesz! Skądżebyś ty wziął tyle pieniędzy? Wszak to niepodobieństwo!

Staął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! Otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim niedołągą, na jakiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znowu zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła i ręce jego w swoje pochwyciwszy mocno je ścisnęła. Mnóstwo uczuć wstrząsało jej rysami: niespodziana nadzieja wyzwolenia się od czegoś, przed czym w tajemnicy swej duszy śmiertelnie drżała, radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości, najbardziej przecież przestrasz...

— Skąd wziąłeś te pieniądze, Mieczku? Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? Drogi mój, co ty zrobiłeś?

Spróbował ręce wydobyć z jej dłoni, ale ona je z siłą całych coraz mocniej ścisnęła.

— Skąd wziąłem? Nie ukradłem ich przecie. Wiesz o tym dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem i koniec. Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś! — krzyknęła — ależ to dla ciebie ostatnia ruina, nędza! Jakże ty będziesz mógł tak wielką sumę zwrócić? Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył? Bogatych ludzi nie znamy. Pierwsza Rożnowska dałaby, gdyby miała, ale me ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma. Któż ci więc je pożyczył? Kto? kto? kto?

I dopóty ściagała go tym natarczywym, gwałtownym pytaniem, dopóty wzrok swój gorejący i strwożony w jego oczach zatapiała, dopóki z niechęcią, prawie z gniewem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tym mieście lichwiarzy. Joanna splasnęła głośno dłońmi, a potem nimi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez parę minut prócz tego jednego wyrazu nic wymówić nie mogła. Biedny brat jej ze zwichniętym życiem przez nią, dla niej oddawał się jeszcze w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść długów, zgryzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i obejmując go ramionami błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrową, silną, młodą i może wszystko wytrzymać, że słusznym jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama, że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi niż te trzy miesiące... tam... A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkim wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: "Nie, Joasiu, nie, nie! Ja na to przystać nie mogę!" — osunęła się na klęczki i rękami kolana jego objąwszy błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

— Mieczku! najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieść temu, od kogo je dostałeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciszku! złoty! pozwól mi tam pójść! pozwól! I płakała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinął się z jej głowy i rozpleciony, stargany strugą bladego złota osypywał grube obuwie kancelisty. Ale on schylił się prędko i podnosząc ją z klęczek długimi swymi, twardymi ramionami mocno do piersi swej przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniądzy tych oddać nie mogę. Są one już u tego urzędnika, który przyjść miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić... a teraz nie ma po co ani po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

Śmiał się trochę gapiowato, a trochę nerwowo, ze szczególnym zmieszaniem tryumfu i goryczy. Ona cicho, głęboko na jego piersi płakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze i odniósł je temu, komu należało. Wdzięczność bez granic, radość wyzwolenia, żal nad bratem i trwoga o jego przyszłość przejmowały do głębi dziewczynę starganą strasznymi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej, z całej siły przyciska się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarły, wydawał się zwykle tak obojętnym, a teraz... On kilka razy pocałował ją w głowę i czoło.

— Widzisz! Myślałaś pewno, że w nieszczęściu jesteś zupełnie sama na tym świecie! A ja — to co? Prawda, że nie powiodło mi się... długo by mówić dlaczego. Były takie rzeczy, co mi zniszczyły zdolności, wesołość, zdrowie... ale serca nikt ze mnie nie wyjął i honoru nikt mi nie odebrał. A toż chyba bez serca i podłym byłbym, gdybym w takim wypadku siostry rodzonej i takiej, jak ty, nie ratował!

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś.

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie za stołem okrytym kancelaryjnymi papierami. Joanna wróciła do kuchenki i zakrzętała się około nastawienia samowaru. Napełniła samowar wodą i z dzbankiem w ręku stała chwilę nieruchoma. Potem, widocznie zmuszając się do ruchu, nabrała z piecyka węgla, które także do samowara wrzuciwszy, znowu zwiesiła ręce na suknię i stała prosta, sztywna, szklannym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypominał jej snadź o czymś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła zeń wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś zamiast je podnieść pochwyciła nóż i bułkę chleba. Ruchy jej były sztywne, automatyczne, co chwilę powstrzymywane nieodpartym zamyśleniem. Na koniec nóż i chleb na stół rzuciła i rękami twarz zakrywając, a czoło przyciskając do drzwiczek szafki wybuchnęła gwałtownie tłumionym płaczem. Co ona teraz pocnie? Jaką teraz będzie jego przyszłość? O, straszna pustka jej życia, a straszniejsze jeszcze jego troski, zgryzoty, ruina! Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju usłyszonym nie został, przestała płakać. Ale robić nie mogła nic: formalnie nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, myśleć i myślami tymi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Osłupiały wzrok jej błędził za szybami nie widząc nic prócz kilku czarnych, brzydkich dachów i kawałka nieba zasnutego wydobywającym się z kominów tłustym dymem. Nie było w tym widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy; toteż twarz Joanny stawała się coraz bardziej posępną. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrej żółtości, a po spłowiałych ustach po raz pierwszy w jej życiu wić się zaczął uśmiech gorzki, cierpki. Naturalnie wyjedzie stąd jak najprędzej, aby gdziekolwiek jakkolwiek pracować. Wszystko, co zarobi, odeśle bratu, aby spłacał ten nieszczęśliwy, straszny dług. Ale będą już żyć rozłączeni... A tu jej serce tak jest teraz ciężkie, że nie wie doprawdy, jak je zaciągnąć będzie mogła pomiędzy obcych ludzi.

Wtem drzwi od kuchenki skrzypnęły i ukazały się w nich dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w swym ubraniu z grubego płótna, bosy, ciężki, przygarbiony i za rękę prowadzący małą, pucatą Mańkę, prędko drepcącą bosymi także nóżkami, wydobywającymi się prawie po kolana spod luźnej, spłowiałej sukieneczyny. Nie upłynęło parę sekund, a chłopak lękliwie i z zasepioną jakąś czułością spod brwi spoglądając przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś trzepocząc małymi nogami i rękami z cichym chichotem na kolana jej wskoczyła. U nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz



właśnie rozkwitała na świecie, a której garść sporą syn ślusarza narwał zapewne w czyimś ogrodzie i milcząc tu na podłodze położył. Silny zapach tego śnieżnego, wiosennego kwiatu nappełnił kuchenkę. Joanna nie mówiła nic, ale oczy jej były znowu pełnymi łez. Kosuś zaś wciąż tym samym spojrzeniem przywiązanego i lękliwego zwierzątka spod brwi na nią patrząc wyjął z zanadru spory zeszyt i rozwarłszy go powoli czytać zaczął:

— Próż-niac-two jest oj-cem wszyst-kich grze-chów. Kto ra-no wsta-je, te-mu Pan Bóg da-je...

A mała Mańka także zza sukienki wyjęła elementarzyk, stary, zbrudzony, zgnieciony, i rozwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b... c...

Joanna śmiała się z cicha i całowała ciemne, zmarszczone czoło chłopca i jędrny, rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tym bardzo. Powstał stąd mały gwar. Z sąsiedniego pokoju nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna splonęła ciemnym rumieńcem i twarz ku oknu odwracając odpowiedziała:

— Dzieci...

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzki jego znowu wybiły się czerwone plamy i oczy mu pałały, ale tym razem gniewem. Właściwie był to gniew pochodzący z przestraszenia, który wyraźnie malował się na twarzy, w postawie i wszystkich ruchach kancelisty.

— Znowu dzieci! — powtórzył głosem podniesionym — czy ja zupełnie już zginać mam przez te przebrzydłe bębny? Czy nie dość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze i ostatni kawałek chleba mam stracić!

Gestykulował popędliwie i nogą w podłogę uderzał. Przestraszona niespodziewaną siłą nadawał jego głosowi. Przerażliwie prawie krzyknął:

— Precz mi stąd, malcy! Żeby tu od dnia dzisiejszego noga wasza nie powstała, bo jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko stłukę. Precz! precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu oka zniknęli. Joanna stała przy ścianie, nieruchoma, niema i biała jak ściana. Bez wątpienia miał on prawo, zupełne prawo tak postąpić. Bez wątpienia postąpił on nawet bardzo dobrze. Bez wątpienia miał słuszne przyczyny lękania się i nakazywania, aby tak lub inaczej działo się pod jego dachem. Jednak... o! wyjść, wyjść, wyjść stąd jak najprędzej, aby mu nie być znowu ciężarem i niebezpieczeństwem, aby mu do płacenia tego długu dla niej zaciągniętego dopomóc! Boże! wszakże i drobne robaki ludzkie miewają swą dumę i godność człowieczą. Zapaliła lampkę, urządziła herbatę i wraz z pokrojoną na talerzu bułką zaniosiła ją bratu, który przy zapalonej też lampie pilnie już pisał. Codzienne spędzał nad takim pisaniem długie godziny i w biurze, i w domu. Postawiwszy szklankę i talerz na stole pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najlżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpić, był przełęcznionym, lękanie się to rozumiała. Tylko czuła, że znowu koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej, jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce do nosa cyfrę Mieczysława. Czy kiedykolwiek jeszcze będzie mogła kupić mu taki podarek, jakim były te chustki, z których oboje

tak się cieszyli? Rzecz była małą, a uciecha wielką. Ale — wszystko minęło. Czerwona nitka wiła się po płótnie, na które z palców Joanny wypadła igła. Nie, dziś stanowczo nic robić nie mogła. Czeremcha przez dużego Kostusia przyniesiona napełniała kuchenkę odurzającym zapachem; samowar stojący u pieca szumiał i parą buchał; z dołu, spod podłogi, dochodziły głuche szmery, nad którymi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu albo kłótlawy czy hulaszczy okrzyk. Szynk tam rozpoczynał swoje nocne podziemne życie. Ale co tam takiego zaszeleściło za wysoką poręczą łóżka i ze zmroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło z nieokreślonymi formami?... Zwierzątko? dziecko? Jakieś dwie rączki opieraty się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bladym złotem na tle brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przezczystym błękitem... Było to dziecko, które przez kilka sekund po cichu pełznąć na czworakach nagle z wybuchem stłumionego śmiechu wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczyny.

Duży Kostuś uciekł, a mała Mańka schowała się tylko za łóżko i czekała, póki pan nie przestanie gniewać się i krzyżeć. Ona tu dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała, a teraz chce trochę z elementarza poczytać, pokazać, co już umie... że już wszystko umie... wszystko, od a aż do p... od p nie umie, ale wczoraj nauczył się...

Chciała zapewne powiedzieć jutro, a powiedziała wczoraj, ale nic to! Joanna znowu całowała ją i zapytywała, czy rodzice jej wiedzą o tym, że tu nocować zamierzyła.

Z przyległego pokoju zabrzmiało pytanie:

— Kto tam znowu? Z kim rozmawiasz, Joasiu?

Z cicha i z wielkim zmieszaniem Joanna odrzekła:

— To Mańka... Czy mam powiedzieć jej, aby szła precz?

W przyległym pokoju przez długą minutę panowało milczenie, aż przewlekły, nosowy głos męski wymówił:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole pod podłogą rozległo się znowu głośnie stuknięcie i zawrzał bezładny hałas. Czy tam pijak jaki upadł i głową uderzył się o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że obalił na ziemię okrytą śmieciem i zalaną trunkiem? A może takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa!

Nad stukami i wrzawą szynku w kuchence oświetlonej małą lampą i napełnionej zapachem czeremchy blada, szczupła dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapadłymi, zapłakanymi oczami, trzymała na kolanach bose, pucate, śmiejące się dziecko. Zza krótkiej, spłowiałej sukienki tłusta, czerwona rączka dziecinna wyjęła znowu mały, zbrudzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem. Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

— Ciiiicho!

— Ciiiicho! — schylona nad dzieckiem powtórzyła Joanna.

Maleństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu i tłustym, krótkim paluszkami o każdą z liter uderzając cicho, szeptem prawie czytało:

— A... b... c...

